

Terror fałszywej różnorodności

Powszechna dziś w lewicowych i liberalnych mediach retoryka wygląda tak, jakby dotychczas uciskana (a przynajmniej za taką się uważająca) mniejszość szukała nie sprawiedliwości, ale zemsty, próbując zepchnąć dotychczasową większość na pozycje, na których sama dotychczas się zajmowała.



Podstawowy problem z tą nową rewolucją kulturalną nie polega na tym, że dyskryminowane mniejszości walczą o tolerancję dla własnej tożsamości, ale na tym, że jej ideologowie i inżynierowie społeczni próbują arbitralnie decydować, które tożsamości należy w społeczeństwie wzmacniać, a które osłabiać.

Aspirująca dziś do sprawowania globalnych rządów dusz ideologia najwyraźniej ujawnia swoje wewnętrzne sprzeczności i rzeczywiste motywy, gdy przyjrzymy się jej retoryce. Z jednej strony promująca ona różnorodność (z ang. diversity), z drugiej zaś twierdzi, że usuwanie podziałów i coraz bardziej postępująca homogenizacja społeczeństwa jest jedynym skutecznym sposobem na trwałe wyeliminowanie wojen i konfliktów. Nietrudno zauważyć bowiem, że owo hołubione w liberalnych mediach „prawo do różnorodności” dotyczy wyłącznie wybranych i wyselekcjonowanych grup, innym zaś nie tylko odbiera prawo do zachowania własnej tożsamości w zróżnicowanym społeczeństwie, ale traktuje je wręcz jako „ciało obce” w docelowym, utopijnym modelu. Może się zatem wydawać, że (celowo upraszczając) idealnym modelem jest społeczeństwo, w którym pokojowo współistnieją ze sobą jedynie ateści, feministki i pary homoseksualne, a poza społeczeństwem, jako nowe „grupy wykluczone” znajdują się katolicy, tradycyjne rodziny i narodowi patrioci.

Powszechna dziś w lewicowych i liberalnych mediach retoryka wygląda tak, jakby dotychczas uciskana (a przynajmniej za taką się uważająca) mniejszość szukała nie sprawiedliwości, ale zemsty, próbując zepchnąć dotychczasową większość na pozycje, na których sama dotychczas się zajmowała. I próbuje ona zająć miejsce owej większości. Postulaty „wykluczonych” nierzadko wykraczają poza – zrozumiałe przecież i pożądane w demokratycznym społeczeństwie – prawo do pokojowego współistnienia różnorodnych grup społecznych, ale sięgają o wiele dalej, wzywając wręcz do wykluczenia tych rzekomo wykluczających.

Podstawowy problem z tą nową rewolucją kulturalną nie polega na tym, że dyskryminowane mniejszości walczą o tolerancję dla własnej tożsamości, ale na tym, że jej ideologowie i inżynierowie społeczni próbują arbitralnie decydować, które tożsamości należy w społeczeństwie wzmacniać, a które osłabiać. Szczególnie widoczne jest to w krajach anglosaskich, w których tzw. poprawność polityczna sięgnęła granic absurdu (przed ostatnimi wyborami prezydenckimi w USA w „niepoprawnej” prasie amerykańskiej pojawiały się komentarze sugerujące, że idealnym kandydatem na ten urząd byłaby czarnoskóra muzułmańska lesbijka), ale ten trend jest coraz bardziej widoczny również w Polsce. Terror strachu przed tym, aby broń Boże kogoś nie obrazić, powoduje że obrażamy samych siebie i zdrowy rozsądek. Jak na przykład wtedy, gdy przed ostatnimi świątami ambasada Polski w Londynie rozesłała kartki świąteczne starannie pozbawione jakichkolwiek odniesień do Bożego Narodzenia, lub gdy całkiem niedawno Unia Europejska opublikowała kalendarz, w którym znajdziemy wprowadzić Walentynki i Halloween, ale Świąte Wielkiej Nocy już nie. Niedługo również nad Wisłą doczekamy być może czasów, w których – tak jak w Wielkiej Brytanii – za noszenie na szyi krzyżyka można wylecieć z pracy (choć wystarczyłoby pewnie odwrócić krzyżyk do góry nogami, aby stał się jedynie atrakcyjnym elementem biżuterii). Tylko czekać, aż powstanie Centralne Biuro Antydyskryminacyjne, starannie tropiące tych, którzy w ramach troski o prawo do równości innych nie godzą się na pozbawienie części własnych praw – do własnej tożsamości, własnej wiary, a nawet – o zgrozo – własnych poglądów.

Największy absurd tej nowej, wspaniałej wiary polega na tym, że w ramach walki z dyskryminacją mniejszości dopuszcza się dyskryminację większości. W świecie, w którym „tolerancja” (słowo-

wytrych) stanowi wartość najwyższą, nietrudno uznać instytucje, które nie chcą się poddać jej kultowi (np. Kościół katolicki) za organizację przestępczą. Tam, gdzie publiczne przyznanie się do własnej wiary jest równie gorszące jak publiczne przyznanie się do wstydlivej choroby, chrześcijan próbuje się wypchnąć do katakumb własnych czterech ścian. Niepokojące jest jednak, z jaką biernością wielu chrześcijan wydaje się przyjmować dogmaty owej nowej wiary. „Religia jest sprawą prywatną”, „Nie należy narzucać swoich przekonań innym”, „Wszystkie poglądy są równe” – to hasła, które na pierwszy rzut oka mogą brzmieć atrakcyjnie, ale z rzeczywistością Ewangelii nie mają wiele wspólnego. Nieprzypadkowo, Chrystus mówiąc „Idźcie na cały świat i nauczajcie wszystkie narody” nie dodał na końcu „tylko uważajcie, żeby nikogo nie urazić”.

„Wykluczająca różnorodność”, nietolerancyjna w ramach walki z tolerancją i dyskryminująca w ramach walki z dyskryminacją, jest groźna, tak jak każda utopia oparta na fałszywej antropologii i na fałszywym przekonaniu, że poprzez niwelowanie różnic wynikających z przekonań religijnych przy jednoczesnym wzmacnianiu różnic wynikających z innych przesłanek jesteśmy w stanie stworzyć system powszechnej szczęśliwości. Totalitaryzm, od totus – jak mówił Zbigniew Herbert w jednym z wywiadów – bierze się z arogancji, z przekonania, że możemy ogarnąć całość rzeczywistości i wyciągnąć wnioski co do losów całego społeczeństwa. Dlatego potrzeba nam – również w Polsce – odwagi, aby tej utopii się przeciwstawić, odwagi nazywania rzeczy po imieniu, a tam, gdzie to konieczne – czynnego oporu. Żyjemy w czasach, w których bierność jest dezercją. A my nie możemy być dziś dezertkami, jeżeli nie chcemy za kilka lat wylądować na paradyzie katolików domagających się przywrócenia swoich elementarnych praw.

Przemysław Pięta